

Witkacy, jaki jest, każdy widzi

W roku 1969 Konstanty Puzyna nawoływał o wystawienie Witkacego „po Bożemu”. Krytykując ogół wydziwiających i epatujących i-graszkami plastycznymi przedstawień — także twórców wybitnych, lecz traktujących Witkacego zbyt dowolnie — zasłużony witkacolog występował oczywiście w interesie swego pisarza. Były to czasy zachłyśnięcia się Witkacym, a autor „Nienasyceńca” fascynował przede wszystkim „tozpasaniem” formy, co ten i ów rozumiał zapewne jako zachętę, aby się całkiem urwać z cugli i dać upust niezłym nie ograniczonej inwencji własnej. Nasz nadwiślański prekursor francuskiej awangardy był — jak stwierdzał Puzyna — stosunkowo mało rozumiany, krytyk więc zachęcał przede wszystkim do czytania dramatów Witkacego, do tego, by starać się rozumieć, o czymże to w nich konkretnie mowa i podać za sensem, a nie ulegać magii totalnego

najbarwniej wypada Scurvy Dariusza Piekarza, przynajmniej w dwu pierwszych aktach. Obrzydliwy, wampirówaty i impotentcki, jakiś taki obiorakowaty w sposobie poruszania się, przesadnym, nienaturalnym gestem usiłuje maskować wewnętrzne rozmarńnięcie. Wierzy mu się przy tym, że jest nieszczęśliwy, gdy w przypadku pozostałych osób ich niedosyt życia trzeba przyjąć na słowo.

Pisząc tu o poszczególnych rolach zdaje sobie sprawę, że niedostatków aktorskie wynikają głównie z braku wyraźniejszej koncepcji reżyserskiej. W tej też sytuacji, o ile dwa pierwsze akty są komunikatywne, jasność „wykładu” załamuje się w akcie trzecim. Filozoficzny bełkot Sajatana brzmi zbyt podobnie do jego dotychczasowych wypowiedzi; Scurvy — tyle że na łańcuchu i na czworakach; Czeladnicy i księżna — vide akt pierwszy. Całą sceną wkroczenia ludu wiejskiego z



„Szewcy” S. I. Witkiewicza w Teatrze im. Węgierki w Białymstoku. Od lewej: Wiesław Rajewski, Jerzy Siech, Jarosław Grądek.

absurdy. Nie wiem, być może wtedy przedstawienie „Szewców” w reżyserii Wandy Laskowskiej na scenie Teatru im. Węgierki w Białymstoku zyskałoby aplauz Puzyny, czas jednak leci i dziś jest ono już anachroniczne.

Jest to właśnie Witkacy wystawiony zwyczajnie, „realistycznie”, z uwzględnieniem wskazówek pisarza zawartych w didaskaliach. Zamiar reżyserski jest jasny i chwalebny, wierność autorowi tak w duchu jak i w literze. Czy tak po prostu pojmovana wierność może jednak w rezultacie dać spektakl rzeczywiście Witkacowski, a więc drażniący i tragiczny? W jakim zresztą stopniu kształt sceniczny wpisany w dramacie i naszkicowany we wskazówkach autora jest czytelny dla dzisiejszego widza?

Po podniesieniu kurtyny scenografia Ryszarda Kuzyszyna prawie realistyczna, bez żadnych dodatkowych efektów. Warsztat szewski, aktorzy — „normalne szewskie stroje z fartuchami”; w trzecim akcie, na tle tego samego neutralnego muru, klubowe fotele, trunki na stoliku, Sajetańczycy w bonzurkach. Kostiumy w ogóle mniej więcej takie, jak zyczył sobie autor. Zwyczajność ekspozycji mogłaby może — mocą kontrastu — spełnić rolę odskoczni dla niezwykłości tekstu. Tak się jednak nie dzieje, tekst bowiem aktorzy podają „po Bożemu”, nie sprzeniewierzając się wprawdzie zawartym w nim sensom, ale też ich nie uwydatniając. Zasada mechaniczna — dygresje do widowni, reszta na jednym tonie, wzbogacona żądaniami przez autora jękami i przekleństwami. Dotyczy to roli Sajetana Tempe, w której Jerzy Siech jest ciągle taki sam, i jako zgnębiony proletariusz, i później, znużony pustką życia na samym wieżchołku społecznej hierarchii. Gwałtowność dialogu zastąpiło tu, monotonne w końcu, stałe „wkurzenie” zażywnego jegomości. Monotonia sprawia, coraz trudniej śledzić niełatwy przecież tok wywodu, ku końcowi właśnie coraz bardziej skomplikowany. Toteż im bliżej finału, tym większe znużenie ogarnia widownię... aż do niezawodnej siekiery w głowie. Czeladnicy — różnicownicy. Pierwszy z nich (Jarosław Grądek) duży niedarny chłopak, z trudem przyswoił sobie mądrości wysłuchane na Wszechnicy Robotniczej, ale co wie, to wie, ku własnemu nieraz zaskoczeniu konstatuując słuszność wycieczek na pamięć formułek. Czeladnik II (Wiesław Rajewski) — wrażliwszy, bardziej nerwowy, drobny, w okularach w drucianej oprawce. Wszystko to jednak można powiedzieć o nich już na samym początku, a potem nie dochodzi nic nowego. Księżna Irina Małgorzaty Andrzejczak — perwersyjna, bezczelnie uśmiechnięta, mała egzotyczna bestyjka. Von und z raczej chyba po mężu niż z domu, co nie byłoby wielkim zarzutem, gdyby i ta rola nie opierała się na ciągłym powtarzaniu raz zdemonstrowanych środków. Na tym tle

Chochołem wyłącznie rozbija dotychczasową akcję, więc najlepiej byłoby ją może wyrzucić. Dlaczego się chłopkowie Sajetańczykom nie spodobali, nie wiadomo. Reżyserka nie zdecydowała też, kim ma być ów straszliwy Hiperrobociarz. Wkracza na scenę powstać wcale nie straszliwa i zupełnie niewyrzista (gwoźli uczciwość podaje — płaszcz wojskowy, gumki, hełm motocyklowy, wzrost niski). Podobnie z Gnębionem Puczymordą. Choć niby wszystko jak chciał Witkacy — złoty kontusz, kółpak z piórem i przebierranka w zawieszonych szmaty — jednak nie bardzo wiadomo, co, jak i dlaczego. Walkowerem więc wygrywa rzeczona siekiera tkwiąca w głowie porurującego Sajetana. Dystansuje ona wszystkie treści, jakie się tu wypowiada, niestety. W finale „Szewców”, gdzie szczególnie konieczne jest precyzyjne rytmizowanie narastającej degrengolady, cała dialogowa kakefonia puszczona została luzem. Nic dziwnego, że Witkacy, zarówno jako myśliciel jak i jako wściekły reformator tradycyjnego teatru, wypada tu dość blado.

Towarzysze na koniec zjawiają się w czerni, jak na oficjalny pogrzeb. W takim tonie też prowadzą rozmowę — tak na boku, konfidencjonalnie. To chyba dobry pomysł. Trudno jednak uwierzyć, że jest to pogrzeb jakichkolwiek wartości, choćby skarykaturowanych. Widz nie odnosi wrażenia, że mówilo się cały czas o sprawach ważnych.

Białostocki spektakl „Szewców” jest dobitnym przykładem, że Witkacy sam, „jaki jest”, nie uciągnie całego przedstawienia. Z dwu skrajności — nafaszzerowania spektaklu wszelkimi dowolnościami i grania „po Bożemu” — Wanda Laskowska popadła w tę drugą. Jest to z dwu grzechów mniejszy, nie budzi wątpliwości znajomości dramatu i autora. Okazuje się jednak właśnie, że nie wystarczy reżyserowi rozumieć tekst i trzymać się didaskaliów, aby Witkacy mógł rzeczywiście zaistnieć na scenie. Już na poziomie tekstu konieczne jest przyjęcie jakiejś hierarchii ważności, klucza, gdyż łatwo staje się on monotony, a w dziwnym słownictwie i licznych, najróżniejszych rodzaju, dygresjach gubi się myśl.

Wizjonerstwo Witkacego uprawomocnione zostało przez życie. Ludzka termitiera, którą zapowiadał, funkcjonuje już w potocznej świadomości. Myśl Witkacego nie zestarzała się, niebezpieczeństwo anachronizmu dotyczy jednak środków, jakimi została wyrażona. One to właśnie wymagają uważnej kontroli współczesnych realizatorów teatralnych. Przeświadczenie, że spektakl po prostu odegrany pozostanie wierny Witkacemu, jest złudzeniem. Efekt będzie co najwyżej taki, jak w przypadku „Wesela” według wzorów z 1901 roku.